Nr. 32. 9. Października 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

Starsza siostra Zygmunta Augusta.

SZKIC HISTORYCZNY.

Wszystkie narody posiadają w dziejach swych pewne wybitniejsze chwile, do których z szczególną lgną miłością i które radzi odświeżają w pamięci. Francuzi lubili często przypominać sobie rządy Henryka IV, nim ulegli urokowi większych i wspanialszych chwil swej wielkiej rewolucyi; Anglicy najchętniej podnoszą czasy wypędzenia Stuartów, Holendrzy epokę oderwania się od Hiszpanii, Szwedzi wojnę trzydziestoletnią, Węgrzy Hunyadego walki z muzułmańskim nawałem, Serbowie nie mogą oderwać się sercem i pamięcią od poniesionej na Kossowem polu klęski: dla nas Polaków najmilszą z całego obszaru dziejów chwilą były zawsze ostatnie lata panowania Jagiellonów.

Wiele składa się na ten urok szczególniejszy, jaki otacza ten pamiętny okres naszej historyi. Polska stała wówczas u szczytu chwały i potęgi, szereg znamienitych na każdem polu mężów otaczał tron mądrych i sławnych na cały ówczesny świat chrześcijański królów, literatura i nauka kwitły jak w żadnym innym narodzie ościennym, wszakże co nas najwięcej zachwyca i pociąga ku sobie, to dokonana unia Litwy z koroną — ten najszczytniejszy akt, jaki kiedykolwiek zapisała historya w swe karty.

Gdybyśmy tylko ten jedyny wielki moment mieli w całych dziejach naszych, nie potrzebowalibyśmy się już rumienić za przeszłość naszą w obec najsławniejszych w świecie narodów. Dobrodziejstwy rozszerzanego światła, urokiem swego imienia, wpływem swych wolnomyślnych instytucyi i obyczajów potrafiła Polska do tego stopnia ująć sobie obcy zupełnie pochodzeniem i wrogi w dawnych czasach naród, że zrzekając się wszelkiej samodzielności na zawsze sprzągł się z jej losami, a sprzągł się nie wątłym węzłem politycznych traktatów ale sercem i duszą całą. Tyle ciężkich prób, tyle burz i gromów przetrwał ten związek braterski a i dziś pod srogiem obcem jarzmem trwa stale i niezmiennie.

Niechże nam ci nowocześni germańscy cywilizatorowie, co majacząc o swem posłannictwie na Wschód, chcą nam gwałtem cywilizować Wielkopolskę, a własne swe najstarsze ziemie Alzacyą i Lotaryngię powierzyli na wieczne wychowanie Francyi, przedstawią jeden tylko taki przykład, a uwierzymy w ich misyę urojoną.

Polska zbierała za rozszerzane światło i krzewioną wolność hojny plon w miłości i wdzięczności cywilizowanych ludów, oni budzą wzgardę i nienawiść gdzie stąpią krokiem, i zamiast pochodni światła wyciągają szpony grabieży...

Jeżeli zaś zawsze już ta chwila unii Litwy i Korony miała dla nas urok niepospolity, to porywa ona nas dwójnasób w tej chwili, kiedy naród cały korzystając z nauk historyi społczesnej, uczuwa tak głęboko potrzebę zjednoczenia i zespolenia swych sił, przeciw czemu może podnieść głos chyba tylko nierozum oczywisty albo zaprzedana nieprzyjaciołom lub własnym widokom samolubnym zdrada...

Wszystko, co się wiąże z tym świetnym i pamiętnym okresem dziejów naszych ma dla nas tak porywający urok, toż i dynastya, pod którą to wielkie dokonało się dzieło musi pociągać naszą cześć i pamięć ku sobie. Bohaterka naszego opowiadania, starsza siostra Zygmunta Augusta, nie stoi wprawdzie w żadnym związku z tą wielką chwilą historyczną, lecz jako spółczesna i jedna z ostatnich latorośli tej wielkiej w dziejach ogólnych dynastyi zasługuje ze wszechmiar na cześć i pamięć potomności.

Izabela Jagiellonka zwana powszechnie Izabelą Zapolską, należy do najznakomitszych kobiet w historyi. Imię jej głośne w Polsce, splotło się ściśle z dziejami Węgier i Siedmiogrodu i odegrało niemałą rolę wobec minionych dziejów Austryi.

Dotąd jednak bardzo mało zajmowała się nią historya. Zaledwie kilka pobieżnych wzmianek współczesnych kronik polskich przeszły do szerszej wiadomości, a jej ogłoszone dotąd monografie nie sięgały do dalszych źródeł.

Samo nawet jej imię podlegałoby niejakiej wątpliwości. Bielski i wszyscy kronikarze polscy zwą ją Izabellą, niektórzy zaś zagraniczni Elżbietą. Ona zaś sama podpisuje się na przemian raz Izabella, drugi raz Alżbieta czy Elżbieta. Obadwa te przykłady przechowały się w dwóch listach autentycznych, z których jeden pisany po czesku do kardynała Hozyusza około r. 1548 a umieszczony w Pamiętniku warszawskim z r. 1815 w miesiącu lutym na stronie 25 nosi podpis, Alżbieta królowa, na drugim zaś, pisanym po polsku do księcia Radziwiłła Czarnego w r. 1559 a wydrukowanym w dzienniku warszawskim Zorza z r. 1874 na str. 257 stoi. Ysabella renką właszną.

Dziwna ta na pozór niejednostajność nie może razić bynajmniej przy bliższem rozpatrzeniu się w dziejach zagranicznych. Okazuje się bowiem, że w czasach dawniejszych brano obadwa te imiona w jednem i tem samem znaczeniu, jak o tem świadczą liczne zagranicznych kobiet przykłady.

I tak między innemi małżonka angielskiego króla Jana bez ziemi zmarła w r. 1245; żona króla francuzkiego Filipa III, zmarła w r. 1271, żona francuzkiego króla Filipa IV, zgasła w r. 1357, żona francuskiego Karola VI, zmarła w r. 1453 wreszcie żona nieszczęśliwego infanta hiszpańskiego Don Karlosa, zeszła ze świata r. 1505, tudzież

małżonka hiszpańskiego króla Filipa IV zmarła w r. 1644, wszystkie podpisywały się na przemian Izabella i Elżbieta.

W opowiadaniu naszem nazywamy królowę Zapolską zwyczajniejszem imieniem Izabella, wszystkie zaś mniej znane o niej szczegóły czerpiemy z źródeł węgierskich mianowicie z niemieckiej monografii znakomitego historyka węgierskiego hrabi Majlatha.

Izabella Jagiellonka, najstarsze dziecię Zygmunta Starego z małżeństwa z królową Boną, urodziła się dnia 18. stycznia r. 1519 a najprzyjaźniejsze wróżby losu uśmiechały się jej młodości.

Ojciec jej Zygmunt Stary dzierżył berło jednego z najpotężniejszych narodów owczesnych, sława jego mądrości i znaczenia rozbiegała się po najdalsze krańce ówczesnego świata chrześciańskiego a nawet muzułmańskim imponowała władzcom. Wiadomo z dziejów jakiej czci i przyjaźni używał Zygmunt u strasznego chrześciaństwu sułtana Solimana, pod którym potęga Islamu do najwyższego dobiegła szczytu.

Młodziutka Izabella, urodzona i wychowana w blasku ojcowskiego dworu, jaśniała także prawdziwie królewską urodą.

Jak widać z pozostałych po niej portretów oddziedziczyła ona po matce rozkoszność kształtów i resztę wdzięków właściwych strefom południa, litewska zaś krew ojca wyposażyła ją śnieżną białością płci i wszystkiemi innemi zaletami północnej krasy. Twarz miała ściągłą, rysy drobne miękkie i regularne, czoło jasne, wysokie, tchnące królewską powagą i jakąś dziecięcą swobodą, oczy pełne dobroci i wyrazu, nos wykończonej kształtności a usta wcięte pełne i świeże, złożone zwykle w półuśmiech tak wdzięczny, słodki i ujmujący, że może dziś zdawać się niepodobieństwem, aby ktokolwiek mógł był oprzeć się ich urokowi.

Wyżej jeszcze nad wdzięki i powaby powierzchowności sławią w niej kroniki spółczesne zalety serca i duszy. Izabella łączyła jagiellońską stałość charakteru z ich rodową dobrocią serca i szlachetnością umysłu, której w najpierwszej młodości mnogie już składała dowody.

Najstarsza z córek Bony odziedziczyła tylko jej urodę przesławną, żadna zaś z odwrotnych stron charakteru matki nie przyjęła się w sercu dostojnej córki. Jak stara królowa skąpa i nieczuła na wszelką niedolę ludzką, a nawet na losy swej własnej rodziny, tak przeciwnie młoda królewna znaną była z hojności i współczucia dla biednych, a mianowicie z macierzyńskiej troskliwości o młodszą rodzinę.

Wobec blasku takiej piękności w obec tylu cnót i zalet, jakąż koronę przeznaczały losy dla tej szlachetnej córy najzacniejszej i najmożniejszej z panujących wówczas dynastyi?

Niestety zawistne losy uwzięły się dać przykład na niej, jak rzadko szczęście dostaje się tym w udziale, co na nie zasługują.

Piękna królewna miała w pierwszym rozkwicie młodości opuścić dom rodzicielski i z wątłemi swemi siły stawać w szranki ciężkich przygód i kolei.

W maju r. 1539 przybyło do polskiej stolicy swietne poselstwo cudzoziemskie prosić o rękę pięknej królewny. Bylito wysłańcy króla Janusza Zapolskiego. Stefan Broderyk biskup wacyenski, Stefan Verböcz, kanclerz koronny i hrabia Piotr Pereny jeden z najznakomitszych magnatów królewskich.

Rożne były w narodzie i zapewne i w rodzinie królewskiej głosy, jak wypada przyjąć węgierskie dziewosłęby.

Król Janusz Zapolski, niedawny tułacz na ziemi polskiej, gość w domu Kamienieckiego wojewody i Jana Tarnowskiego, przyjaciel Hieronima Łaskiego siedział już wprawdzie od lat dwunastu na tronie węgierskim, lecz dotąd jeszcze chwiała się korona na jego głowie.

Najwyższe szczęście, najwspanialszy zaszczyt swojego domu, zawdzięczył on najcięższej klęsce, najsroższej hańbie własnej ojczyzny — owejto nieszczęsnej bitwy pod Mohaczem z dnia 26 sierpnia 1526, która wraz z śmiercią króla Ludwika Jagiellończyka II przeprawiła o zgubę koronę i kwiat węgierskiego narodu i cały kraj podała na pastwę Turków.

Wtedyto jednocześnie z rozlaniem się hord strasznego Solimana po węgierskiej ziemi i zabłyśnięciem półksiężyca ze szczytów starożytnego zamku Budzynia, przybyło do zwycięzkiego sułtana kilkunastu najcelniejszej szlachty z prożbą aby pod swą możną opieką mianował Janusza Zapolię królem węgierskim.

Nie wiadomo, jaką odpowiedź otrzymali przyjaciele Janusza od Solimana, skoro atoli wojska tureckie wyniszczywszy kraj cały, ustąpili dobrowolnie z jego granic, okrzyknięto królem Janusza i ukoronowano go tego samego roku w Białogrodzie.

(C. d. n.)

ZWIERCIADŁO,

w którem obaczy każdy co chce i czego nie chce.

I.

Od łyczka do rzemyczka.

(Ciąg dalszy.)

Widząc winowajca, że wszyscy z uwagą go słuchali, uśmiechnął się, a chcąc jak najdłużej opowiadanie swoje przeciągnąć, tak rzecz prowadził dalej:

— Nauczyciele nasi byli to mniej więcej cudzoziemcy. Mówię, mniej więcej, bo chociaż który z nich swojskie miał nazwisko, stosując się jednak do tego, co było nakazanem, tak się jakoś przekabacił, że nietylko równał się we wszystkiem cudzoziemcom, ale nawet częstokroć ich przewyższał. Żaden bowiem z nich nie zagadał w klasie swoim językiem, przeciwnie silił się na obczyznę, bo to oczewiście dawało promocyą i smaczniejszy kawałek chleba. A jakie wrażenie czyniło to na uczniach, łatwo się tego domyśleć. Pierwsze zasady nauki i życia a nawet religii podawano nam w obcym języku. A we wszystkiem tem nie chodziło nam bynajmniej ani o naukę ani o religię, ale o język, bo ten pochłaniał wszelkie nasze siły. Rozumie się, że podobny system nauczania nie mógł uczniów przywiązać do nauczy-

cieli — przeciwnie mordując ich głowy od rana do nocy musiał wywołać pewną antypatyę do nich, która zazwyczaj okazywała się w tysiącznych figlach i konceptach, wymyślonych przez klasę na udręczenie nieszczęsnych mentorów.

...Otóż w tym jednym punkcie panowała między najniezgodniejszymi w klasie najzupełniejsza zgoda, najzupełniej uorganizowana opozycya uczniów przeciw nauczycielom. A biada temu, który z pomiędzy uczniów posiadał fawor nauczyciela! Przeciw niemu zwróciły się wszelkie nauczycielom przynależne antypatye, posądzano go o tajemne związki z władzą szkolną, słowem był to najnieszczęśliwszy człowiek w całej klasie. A takim człowiekiem byłem ja.

...Pamiętam, pewnego razu przyszedłem wcześniej niż zwykle. Wszystkich uczniów zastałem w jakiemś dziwnem wzburzeniu. Dzień był prześliczny, czerwcowy. Klasa jakoś nie była dzisiaj zbyt rada z swego zamknięcia i chciała na czemś ten swój zły humor wywrzeć. Na nieszczęście w tej chwili wszedłem do klasy. To taki, to owaki, zaczęto chórem wołać. Fagas! fagas! wrzasnął mi do ucha jakiś proletaryusz w siwej kapocie, a nim dobrze rozglądnąć się zdołałem, uderzył mnie w twarz, aż mi się całe niebo z gwiazdami przywidziało.

...Gdyby mi częściej byli mówili o tych ludziach we zbroi i w deliach czerwonych, którzy w jadalnej komnacie mego ojca wisieli, możebym po tym wypadku inaczej był sobie postąpił. Ale nas uczono, aby się skarzyć, w jakiejbądź sprawie z kolegami. Więc poskarzyłem się. Mój napastnik odebrał sowitą karę — byłem na chwilę zadowolony. Później jednak okazało się, że dłuższy mój pobyt między kolegami był niemożliwy. Napisałem więc do ojca, donosząc mu o wszystkiem, co się stało. Rozgniewało to staruszka. Przyjechał cały drżący ze złości, że jakiś bęben poważył się mnie uderzyć, chciał w pierwszem impecie sam być sędzią i wykonawcą, ale przekonawszy się, że u nas wszystko szło ustalonym systemem a na wymiar sprawiedliwości długo zazwyczaj czekać trzeba, naklął coś pod wąsem, wziął mnie za rękę i z klasy wyprowadził. Odtąd nie chodziłem już do szkoły. Mieszkałem u samego dyrektora, który sam udzielał mi nauki i prywatny ze mną robił egzamen.

...Gdyby mnie w publicznych zostawiono szkołach, możeby przykład kolegów i ich sąd nieubłagany wpłynął na mnie i inną poprowadził mnie drogą. Opinia kolegów, głos całej klasy wiele znaczy. Kto za młodu uczuje cześć dla tego głosu; w czyjem sercu rozbudzi on zawczasu tę tkliwą struną, która na lada cień nieprawości odzywa się dźwiękiem rozstrojonym; kto choć raz uporczywą głowę przed tym głosem powszechnym kolegów swoich uchylił: ten na szerszej arenie życia znajdzie w duszy swojej ten głos boży, który tych, co za nim idą, przy ich sile i odwadze czyni wielkimi!

...Jam tego głosu nie słyszał — mnie nauczono drwić z niego. Za młodu powiedziano mi, że to, co który z kolegów o mnie powie, niewiele mnie obchodzić powinno. Nie miałem nawet sposobności słyszenia tego, bo dyrektor nakazał mi zerwać stosunki z całą klasą, i widocznie jakby coś lepszego wyróżniał mnie od gawiedzi szkolnej. Gdy mi nauka nie szła w smak, wtedy zwykł on mawiać, że za karę poszle mnie do klasy. Widziałem więc w tem skupieniu młodzieży na szkolnych ławkach pewne poniżenie, od którego uratował mnie poczciwy mój ojciec. Z góry więc patrzyłem na wszystkich. Wyrosłem sam wraz z myślami memi, a nie było nikogo, ktoby mógł się był im sprzeciwić i na inne popchnąć je tory. Wyobrażenia moje nie zetknęły się nigdy z światem, nie walczyły, nie hartowały się — były jak zbroja blaszana, której żaden miecz nie wypróbował... byłem jak wybujała łodyga rośliny, która się nigdy nie mierzyła z wiatrami...

...Wzrastałem w ciało i w próżność, bo tę podniecało stanowisko moje, wyróżniające mnie od reszty młodzieży, nie miałem ucha na sądy ludzi, bo tych nie nauczono mnie cenić. Byłem czasem kontent, gdy dyrektor ze mnie był kontent — na resztę świata patrzałem z góry, wyjąwszy tych, którzy według mego zdania mogli jeszcze więcej odemnie niedbać o to, co się o nich gdzieś mówiło! A wiecie wy, moi mili słuchacze, dokąd się taką drogą idzie?...

Śmiech powszechny rozległ się dokoła, co spostrzegłszy winowajca tak mówił dalej:

— Śmiejecie się i słusznie, bo tego pytania nie powinienem był uczynić. Wszyscy widzicie, dokąd ta droga prowadzi, a ja sam najlepiej, bo wkrótce stanę u mety. Ale posłuchajcie dalej. Jest to wprawdzie droga już na zagięciu do piekła, ale przecież nie jest ona jeszcze tak bezbożną, jak to sobie z mego opowiadania wyobrazić możecie. Dalsze dopiero kroki okażą, że była w samej rzeczy złą. Potrawa, gdy ją jesz z apetytem, zdaje się dobrą, a przecież gdy w kilka godzin uczujesz ból w wnętrznościach powiesz sobie, że była złą i miała chorobę w sobie!...

...W duszę każdego dziecięcia składa Bóg wszechmocny kilka ziarn uczuć szlachetnych, które mu później mają świecić jak gwiazdy sternicze śród niepogody i gromów żywota. Te ziarna mają tam wzróść i powoli z wątłej rośliny przejść w silne, niebotyczne drzewo, które wichrom i burzom urąga. Ale większa część tych ziarn marnieje, nie wydawszy ani trawki! U jednych nie wygrzeje ich słońce oświaty, które nad nimi jeszcze nie wschodzi, u drugich nie wypieści ich miłośne słowo matki, a u innych zabijają je z rozmysłem, aby kiedyś nie stały się szkodliwemi dla tych, które tych uczuć nienawidzą. I cóż chcecie od tego, któremu w chwili, gdy te boskie ziarna tchnieniem miłośnem ogrzać trzeba, aby rosły i dojrzewały — przydadzą do boku obcą, zapłaconą niańkę, która na tej ziemi nie wzrosła, albo obcego bakałarza, który z ojczyzną swego elewa nie ma nic wspólnego! W najlepszym razie stanie się z niego człowiek, mówiący kilkoma językami, mogący być członkiem któregobądź narodu, począwszy od Albionu aż do złotego rogu! A jeźli nawet usilną pracą swoich mentorów stanie na wysokości cywilizacyi i nauki dzisiejszej, jakiż pożytek odniesie ztąd kraj rodzinny, również mu obojętny, jak wszelkie inne kraje. Człowiek taki jest podobny do ptaka przelotnego, który nigdzie gniazda nie ma — nocleg odbywa na pierwszym lepszym drzewie, i wie tylko że na niebie jest słońce, a na ziemi morza i lądy stałe, według których ostatecznie się kieruje!... On nie słyszy nigdy przyspieszonych tętnic w sercu ojczyzny, kraj jest u niego jakąś abstrakcyą, albo w najlepszym razie zbiorem

*

interesów, które albo go obchodzą, albo wcale nie!... Uczył on się wprawdzie, do jak heroicznych czynów może natchnąć imie ojczyzny, czytał niegdyś wraz z mentorem o Regulusie, o Scewoli, ale wtedy czytającym nie chodziło o świętą ideę, tylko o język rzymski, aby wiedzieć, w czem on się różnił od dzisiejszego Włochów języka....

...I oto w naukach moich poszedłem taką samą drogą. Głowa moja była wypchana różnemi wiadomościami, które w obcej szacie tam usiadły, nie dotykając wcale żywotnych strun duszy. Serce zostało martwe, bo go niczem nie ogrzano. Biedna matka moja! Ona instynktem odgadła, żem fałszywą szedł drogą. Nieraz bywało, gdym w dóm rodzicielski przyjechał, zalała się łzami patrząc na mnie i słuchając mnie, ale przez miłość macierzyńską wolała nie raz gwałt samej sobie zadać, niżeli dobremu instynktowi swemu uwierzyć. Niepowziąwszy tak starannej jak ja edukacyi, wyrozumowała sobie biedna, że dzisiejszy świat jest mędrszym, że go nawet wtedy podziwiać należy, kiedy się go niezupełnie pojmuje — biedna, ona dla miłości dziecka czyniła siebie uboższą na duchu, niżeli nią była w istocie!...

...Mimo to kilka razy zagadnęła ojca, co ze mną czynić zamyśla. W takim razie prawie zawsze obiły się o moje uszy jakieś sprzeczki, których jednak dobrze zrozumieć nie mogłem. Widziałem tylko, że moja matka łzami zalana wychodziła z komnaty ojca, a obaczywszy mnie, przyciągała mnie silnie do siebie, wyciskając na moim czole gorący, spazmatyczny pocałunek.

...To postępowanie ojca, te dziwne, spazmatyczne pieszczoty matki poczęły mnie w końcu rozciekawiać. I nie długo czekałem na zaspokojenie mojej ciekawości. Za kilka bowiem dni nadeszła owa stanowcza chwila w mojem życiu, której nigdy nie zapomnę. Wszystko mi jeszcze stoi przed oczyma, tak jakby to się dopiero wczoraj stało. Posłuchajcie! —

(D. c. n.)

Galerya obrazów szlacheckich, opowiadania Cześnikiewicza w Warszawie u S. Orgelbranda, 3 t. 1860.

Najobfitszego plonu dla powieściopisarstwa dostarcza towarzystwo, w którym ani nadmiar bogactwa i za nim idący zbytek, dyplomatyczne pożycie i salonowa ogłada, które kosmopolityzują wszystko towarzystwo, nie zatarły cechy narodowej, ani również kosmopolityczne ubóstwo i brak oświaty nie przeszkodził rozwinięciu poczucia narodowego.

Dzieje salonów milionowego pana są równie u wszystkich narodów jednakowe, a przynajmniej bardzo mało różne od siebie, jak dzieje chaty ubogiej; a cóż dopiero mówić o dziejach rodzin proletaryatu, którego istota prawie głównie zależy na zerwaniu związków rodzinnych i narodowych? Są to przedmioty dla publicysty, dla polityka, męża stanu, moralisty — ale dla artysty, poety najmniej tu znajdziesz materyału.

Jakąż grę barw upatrzyć możesz w jednostajnem, szarem tle nędzy i ciemnoty, albo w jaskrawym a niemniej jednostajnym przepychu europejskiego salonu? Jeżeli wreszcie znajdzie to serce jakąś iskrę, ktorą rozdmucha w płomień albo około której samo się zapali — to masz dramat gotowy. Ale cóż ma powieściopisarz opowiadać o szarych dniach pracy nużącej ciało, tępiącej ducha; szarych wieczorach bez światła umysłowego i fizycznego, kołyszących do snu, by zabić troskę i głód? — Jak to malować? Jak opowiadać jednostajne a złocone nudy salonu wyższego z którego przyzwoitość i „comfort“ wygania wszelkie wzruszenia, uczucia, żywość, szczerość, serdeczność i nastręcza przedmiotów tylko dla komedyopisarza, albo gdy nadmiar długo tłumionych uczuć w sercu szlachetnie namiętnem wybuchnie i wywoła podobnyż wybuch serc zepsutych namiętnością tajoną, masz znowu dramat, tragedye.

Dla prawdziwie plastycznego, żywego opowiadacza najwdzięczniejsze jest towarzystwo, w którem życie samo występuje plastycznie, każde uczucie nie tylko się maluje ale wyraża się właściwem sobie słowem, ruchem, czynem. Takiem jest życie szlachty polskiej, zwłaszcza w Królestwie i kraju zabranym, bo u nas już przyćmił trochę jej właściwie narodowe cechy wpływ kosmopolityzujący obcej oświaty i zmiana stosunków wewnętrznych. Nie tu należy rozprawiać, czy to zmiana na lepsze czy na gorsze i jak dalece na lepsze albo na gorsze pod względem obyczajowym, politycznym, społecznym — ale pod względem estetycznym ubyło artystom pióra jedno pole obszerne, gdzie mogli czerpać wiele oryginalnych i nam tylko właściwych obrazów i typów. Następne pokolenie będzie podobno znało to życie tylko z poematów i powieści.

Cześnikiewicz ma to szczęście, że mógł czerpać z życia a ma dar malowania tego życia z prawdą i tem natchnieniem, którem przejmuje tylko szczere umiłowanie przedmiotu.

Otóż to jest najgłówniejsza, nie chcę powiedzieć jedyna, zaleta Cześnikiewicza (Miniszewskiego), że ukochał to życie które opisuje, i ta jego miłość przebija się w każdem niemal słowie — dla tego też traci Miniszewski skoro to pole opuszcza i chce się przenieść na bardziej ogólnoludzkie. Artyście, a tym jest Miniszewski, trzeba indywiduów, trzeba osób prawdziwych, nie pomysłów przelanych w figurki i ubranych szmatkami jak maryonetki, a takiemi są zawsze postacie powieściowe lub dramatyczne stworzone na tle jakiej teoryi.

Miniszewski oprowadza nas po dworkach szlacheckich mniej lub więcej zamożnych, odsłania tajniki pożycia niekryjącego się zresztą zbyt płochliwie przed okiem człowieka, który patrzy na to wszystko z zamiłowaniem wszystkiego co swojskie, który kocha nawet to, co inni poczytują za wadę lub brak ogłady, bo on patrzy na poczciwe otwarte serca, kryjące się często pod szorstką powierzchnią, a nie na gładką powierzchowność ukrywającą często skamieniałe serca.

Tak przedstawia nam Miniszewski w obrazku: „Wielki post panny Katarzyny, który się zaczął w wstępną środę, a Bóg wie kiedy się skończy“ właśnie sprzeczność między ową niecywilizowaną serdecznością a niby cywilizowanym chłodem i kosmopolityzmem serc.

Że przy tem porównaniu trzech polskich krain najgorzej wychodzi nasza Galicya, niebierzemy za złe panu Miniszewskiemu, bo swoją krainę wystawia w dobrem świetle. Spodziewać się należy, że nasi pisarze równie jak poznańscy odwetują to p. Miniszewskiemu, a gdy tak każdy w swojem gnieździe wystawi co najlepsze, wystawiając znowu słabe strony sąsiednich braci naszych, zbierze się nareszcie summa dobrego i poznamy wszyscy nawzajem nasze cnoty i wspólne wady i może też nawzajem zaczniemy pracować by cnoty zespolić a wad wspólnie się pozbyć. W tym pierwszym obrazku występuje autor jako dostrzegacz historycznego rozwoju w trybie wychowania panien. Nie zapuszcza on się, jak na powieściarza przystoi, w głębokie i dowodne badania, tylko daje nam lekki i powabny szkic trzech peryodów tego rozwoju. Zaczyna on od czasu gdy panny bywały chowane w wielkiej bogobojności i rygorze, gdy je chrzczono podług kalendarza a konkurent prosił rodziców o rękę panny, przyczem wola panny była dość obojętną dla konkurenta równie jak dla rodziców. W drugiej epoce zaczyna się chrzczenie i chowanie panien, romantyczne imiona dają się „podług martyrologii lub romansów„ a starający się o rękę młodzieniec romansuje pierwej z panną i zapewniają się pierwej oboje o wzajemnych sentymentach, nim się rzecz wytoczy przed trybunał rodzicielski. „Wtedy to, mówi autor, widzimy pierwsze wykradania panien; bardzo to ludzi bawi, a mnóstwo prześlicznych aniołków marzy o złodziejach urodnych jak o niebie.“ Zawsze jednak jeszcze mężczyzna s t a r a się o pannę a mąż włada jako tako nad żoną. Po roku 1815 poczyna się epoka literatury romantyczno-narodowej: „panienkom zaczyna być imię Wanda, Jadwiga, Bronisława, Kazimira“ a co najważniejsza, rozwody stają się coraz częstszemi i zyskują aprobatę publicznej opinii. Nareszcie nadchodzi peryod emancypacyi kobiet, mężczyzni obojętnieją dla romansów, spekulują i łowią posagi a gdy posiadają dostatnią fortunę, nie myślą o żenieniu się. Nie pozostaje nic innego, tylko by się panny o mężów starały.

Ścisły dziejopisarz obyczajów niezupełnie możeby się zgodził z panem Miniszewskim, podniósł on tylko najjaskrawsze cechy naszego niby-postępowego wieku. Ale artyście chodziło o umotywowanie głównego charakteru swego obrazka, i wywiązał się z tego w sposób taki, że krytyka nie może mu nic pod względem artystycznym zarzucić. Panna Katarzyna jest taką emancypowaną panną, która nie postradała przyrodzonej siły charakteru w klasztorze u panien Sercanek i wyszła z postanowieniem szukania męża, tem bardziej, że nie mając rodziców była sobie samej oddana. Jeździ więc kolejno od jednej ze swoich sióstr zamężnych do drugiej i w każdej domu probuje szczęścia.

Dla łatwiejszego skreślenia charakterów szlachty w trzech krainach podzielonej Polski daje autor pannie Katarzynie trzy siostry i wydaje za mąż jedną za Poznańczyka, drugą za Galicyanina, trzecią za Koroniasza. — Panna Katarzyna jedzie najpierwej do siostry hrabiny w Poznańskie, a autorowi nastręcza sposobność wystawienia w krótkich rysach szlachty tamtejszej, dzielącej się według jego widzenia na trzy kategorye.

Szlachta podszarganej fortuny bawi się w demokracyą, krzyczy na przedających Niemcom dobra, w końcu sama swoje co żywo sprzedaje i zmyka z kapitałem do królestwa. Szlachta średniego mienia występuje śmielej z konserwatyzmem, czyni ile moda wymaga dla dobra kraju, trzyma się z daleka od ruchu politycznego a „na ucho z każdym odcieniem politycznym jest najserdeczniej.“ Trzecia klasa z a m o ż n a uważa się za fundament polszczyzny a w opinii uważana za wsteczną. Do średniej należał hrabia. Charakter jego zresztą niekorzystnie świadczyłby nawet o prywatnych cnotach tej klasy, bo przeszkadza zamężciu p. Katarzyny, aby złowić jej posag. Więc bohaterka przenosi się do Galicyi. Wdzięczni jesteśmy autorowi, że nie wydał ogólnego sądu o naszej krainie, bo możebyśmy się musieli z nim posprzeczać. Wybrał on typ zniemczałego barona, który zimę przepędza w Wiedniu pod bokiem dworu, ma mnóstwo dzieci, zbiera miliony i ubiega się o ordery. Pannie Katarzynie i tu się nie podobało „bo miała grunt poczciwy“, jedzie więc do Królestwa. Tu ją autor sprowadza, by nam okazać w Koronie „prawdziwy charakter polskiego szlachcica“ posiadający potroszę wszystkich wad i cnót narodowych. Wśród tego grona serc poczciwych, rozumów niezbyt wygorowanych, zwyczajów jeszcze nie zobczałych zapanowała p. Katarzyna cywilizacyą europejską, wolą silną, postacią nieszpetną, posagiem niemałym a nadewszystko zręczną kokieteryą. Zapanowała, ale też łatwość zwycięztwa nie obudziła w niej dla nikogo namiętności — aż się jej potęga złamała o ducha silnego, serce na pozór zimne, dla niej nie tylko obojętnego ale nawet odpychającego pana Grzegorza.

Z artystycznym zmysłem maluje p. Miniszewski wojnę p. Katarzyny przeciw Grzegorzowi. Jest wiele psychologicznej prawdy w tem przechodzeniu od obrażonej próżności, chęci górowania, nienawiści, chęci zemszczenia się do uszanowania i poddania się prawdziwie wyższej potędze duchowej pana Grzegorza. Również zręcznie prowadzi on p. Grzegorza, którego charakter stawia u szczytu męzkiej godności, przez wszystkie fazy obojętności, wstrętu, niechętnego oporu, nareszcie mimowolnego zbliżenia się i w końcu zajęcia tą niepospolitą duszą, która w walce z jego moralną potęgą przemieniła się z kokietki i emancypowanej w „niewolnicę“ kochającą pana, który ją opanował duchem i sercem.

Jestto szkic posiadający zalety wykończonego obrazu.

Słabszym bez porównania, ale też i bez wszelkiej pretensyi do wyższej artystycznej wartości napisany jest: P o g l ą d z y z o w a t e g o n a r z e c z y l u d z k i e. Jest w tem nawet podobieństwo do innych obrazków lub powieści osnutych na nieszczęśliwem położeniu towarzyskiem ludzi cieleśnie ułomnych. Człowiek od dzieciństwa odpychający wszystkich szpecącym go zyzem, nawet tych, którzy go z natury już kochać powinni i chcą, wyzywający ludzi niewykształconych do szydzenia z siebie, staje się odludnym i nienawidzącym ludzi. Zapatruje on się na świat duchowo tak samo jak cieleśnie, wszystko widzi w krzywych proporcyach, w fałszywem świetle i o wszystkiem sądzi z goryczą. Tak skaleczona dusza w skaleczonem ciele nie może się wyleczyć, choć nawet się ciało wyleczy ze swego kalectwa.

Ta jest myśl autora. Zyzowaty daje się operować Dieffenbachowi, traci zyza, jest ślicznym dorodnym chłopcem, wszyscy lgną do niego, panny przepadają za nim — ale on ich odpycha, bo dusza pozostała zyzowata, owszem od czasu wyleczenia ócz zyz duszy został spotęgowany. — Przyznać się musimy, że przykre zrobił na nas wrażenie ten obrazek, i upatrujemy w nim poniżenie ludzkiej godności. Miałażby doskonałość lub ułomność ducha ludzkiego rzeczywiście być tak dalece zależną od wad lub zalet ciała jak to autor wystawia? Zdaje nam się, że autor sam tak nie sądzi. Chciał on może raczej okazać, że ułomność ciała da się wyleczyć, ale ułomność duszy jest nieuleczoną niezależnie od ciała. W takim razie niestosownego użył sposobu do wydania tej prawdy, wielu a może większa część czytelników utwierdzi się przez ten obrazek w przesądzie że: „zyz, łys i t. d. nic dobrego". A przecież tuszymy, że autor chciał stanąć w obronie cieleśnie ułomnych przeciw ułomności zdań ludzkich. Obrazek zaś, który nie obudza tylko wstrętne uczucia, nie osiągnął tego celu. *(D. c. n.)*

CZYTELNIA dla MŁODZIEŻY.

(Dokończenie.)

Niezrażona tem wszystkiem zaczęła wychodzić Czytelnia, a przyznać należy, że dość trudne były pierwsze jej kroki. Żadne z pism krajowych nie poparło ją słowy zachęty lub zalecenia publiczności, a niektóre wystąpiły nawet z wyraźną lub na poły tylko ukrytą niechęcią i przymówkami.

Tymczasem pokazało się rychło, że pismo tego rodzaju odpowiada rzeczywistej potrzebie kraju, bo zaraz w pierwszych dobach swego istnienia uzyskało do dwustu abonentów w samym Lwowie. Wytknięta w programie dążność patryotyczna, rozbudzania i podnoszenia ducha narodowego w kole młodzieży, przewodniczyła wydatnie wszelkim usiłowaniom redakcyi i nadała pismu całemu odpowiedni koloryt. Wiele piór mniej więcej znanych i znakomitych jak Pola, Małeckiego, Przyłęckiego Zawadzkiego, Szujskiego, Wilkońskiej, Pruszakowej i innych zapewniły prawdziwą wartość literacką pismu i stały się niejako przewodnikami grona młodszych pracowników, którzy w Czytelni zaczęli oswajać się z publicznem wystąpieniem i zaraz w pierwszych utworach złożyli próbki wiele obiecującego talentu.

Objawiona w recenzyi Czasu obawa okazała się płonną. Czytelnia dla młodzieży lubo w znacznej części oparła się także i na młodych, poczynających pisarzach, ochroniła swych czytelników od wszelkich płodów niedojrzałych i niedoważonych.

Posłużył jej ku temu niemało szczególny kierunek, jaki przebił się wyraźnie w świeżo poczynającej generacyi pisarzów, której Czytelnia stała się głównem dotąd ogniskiem.

Powszechne było dotąd u nas zjawisko, że wszystkie rwiące się do pióra talenta zaczynały od poezyi a przynajmniej od utworów fantazyi. Młodzieńcza gorącość serca, młodzieńcza żywość wyobraźni odtrącały z razu od wszelkich prac zimnej rozwagi i anelitycznego rozsądku. Najznakomitsi nasi uczeni, historycy, krytycy, bibliografowie i t. d. zaczynali od poezyi. Weźmy tylko na przykład Bielowskiego, Szajnochę, a nawet Wagilewicza i Schmitta, którzy w dzisiejszych swych pracach tak troskliwie ochraniają się od wszelkiej poetycznej weny, wszyscy drukowali lub pisali za młodu poezye, powieści, dramata.

Dziś wprowadziła Czytelnia w szersze koła publiczności trzech młodych, rokujących nadzieje pisarzów jak Bernard Kalicki, Łucyan Tatomir i Tomasz Sternal a wszyscy zaczynają zaraz w pierwszych wystąpieniach od tego, na czem starsi kończyli.

Pierwszy z nich Bernard Kalicki pisze rozprawy i artykuły historyczne, które jeśli nie wytrawnością to swym poważnym nastrojem nie pozwalałyby się ani domyśleć 20-letniego autora.

Łucyan Tatomir objawia w swych rozbiorach literackich, w podpisywanych cyfrą L. L. artykułach Rozmaitości zdumiewającą u młodzieńca pewność zdania, spokój i chłodną rozwagę. Trzeci Tomasz Sternal zacieka się nad badaniami filologicznemi i pisze artykuły o chorobach ducha. Wszyscy zaś jakby się silili z umysłu, aby broń Boże nie uchodzić za młodych, aby się nie unosić nigdzie młodzieńczym ogniem i ferworem, i nie zabłąkać się nigdy w dziedzinę fantazyi.

Nie chcemy tem bynajmniej ubliżać młodym autorom, których tak wczesne już prace potrafiły zwrócić na siebie uwagę i rozbudzić prawdziwe nadzieje, jednakowoż nie możemy przytłumić w sobie wątpliwości, czy taki kierunek — jeźli wolno powiedzieć — realny — jest korzystnym tak dla nich samych jakoteż i dla prac ich przyszłych.

Na wszelki jednak wypadek posłużył on wybornie Czytelni. Prace ich odpowiedziały potrzebie i zadaniu pisma i przyczyniły się niemało do jego utrwalenia.

Mamy nadzieję, że Czytelnia przebywszy najtrudniejszy początkowy okres, wytrwa niezmiennie na swem stanowisku i nie przestanie na drodze postępu i rozwoju. Przerzucając całe ubiegłe półrocze, możnaby się nie zgodzić tuowdzie z doborem artykułów, wszakże nigdzie nie da się nic zarzucić poczciwym, patryotycznym chęciom i dążnościom redakcyi. Widać, że ma zawsze cel pisma przed oczyma i lubo łamiąc się z różnorodnemi trudnościami trzyma się wiernie myśli przewodniczącej. Nie sama tylko młodzież ale i ludzie dojrzalsi mogą znaleźć w Czytelni wiele, co może i nauczyć i zbudować, i co nadto potrąci zawsze tę świętą stronę patryotyzmu, której w naszem położeniu nigdy zanadto nie można pielęgnować.

Wiele artykułów zamieszczonych dotąd w Czytelni przyniosłoby zaszczyt i najpierwszemu pismu czasowemu. Mianowicie w oddziale poezyi spotykamy się z kilką prześlicznemi utworami W. Pola, J. Szujskiego, M. Romanowskiego, Seweryny Pruszakowej itd.

Niemniej też i w dziedzinie historyi, tej najważniejszej u nas i dla nas umiejętności, może się pochlubić Czytelnia kilką niepośledniemi pracami, na szczególniejszą zaś uwagę w piśmie dla młodzieży zasługują artykuły jak Zawadzkiego Obrzędy w Polsce, Szujskiego Krótki rys instytucyi

rzeczypospolitej polskiej, Rady co do uczenia się historyi polskiej itp. O takie artykuły, odpowiadające wybornie zadaniu pisma, powinna się starać redakcya wszystkiemi siłami.

Wiele trafnych i stosownych rzeczy wypowiedziała Czytelnia z siłą i dobitnością z swych Rozmaitościach, szkoda tylko, że rubryki tej nie rozszerzy więcej i nie wleje w nią większej wszechstronności. Bardzo dużo ciekawych dla młodzieży wiadomości i wiele innych rzeczy dałoby się zamknąć w tych ramach.

Wielce stosownem byłoby także zamieszczanie rocznic historycznych. Są wypadki w naszych dziejach, których nigdy nie zaszkodzi przypomnieć i których nigdy zanadto nie można wdrażać w pamięć.

Najsłabszą stroną Czytelni jest część powieściowa, leży bowiem prawie zupełnie odłogiem. Tymczasem naszem zdaniem jest to część najważniejsza—przynajmniej ze względu na powodzenie pisma. Poświęcenie dwóch lub trzech kolumn literaturze nadobnej zeskarbi Czytelni przyjaciół i w kole tych czytelników, co za samą tylko gonią zabawą, a może mało poprzeć wypowiedziane zadanie pisma.

Pomijając bowiem niezbędną we wszystkich powieściach polskich dążnosć moralną, ileż to stron patryotycznych da się potrącić w powieści a ile tak mimochodem da się wypowiedzieć rzeczy pouczających. Nieraz jakaś wiadomość naukowa, lub jakieś zdanie moralne lub filozoficzne zamknięte w kilku wierszach powieści znajdzie szersze rozpowszechnienie niż gdyby je w najgrubszych i najuczeńszych podano traktatach.

Umieszczone w Czytelni powiastki samego redaktora p. Karola Cieszewskiego celują zgrabnością układu i potoczystością stylu, brak im jednak żywszego kolorytu, jaki jedynie może silniej przemówić do młodzieńczych umysłów.

Znając szczere chęci redakcyi przekonani jesteśmy, iż Czytelnia z każdym numerów nie przestanie wzrastać w wartość wewnętrzną — wszakże do tego potrzeba przedewszystkiem udziału publiczności. Na udział ten zasługuje swą dążnością patryotyczną, jest więc nadzieja, że kiedy po raz wtóry przyjdzie nam zdać sprawę z Czytelni, będziemy mogli podnieść ją nierównie wyżej.

A. C. M.

MACIEJOWICE

10 października 1794 r.

Dokładne opisanie tej bolesnej chwili pozostawił nam J. U. Niemcewicz, główny wówczas autor a czynny współudział w całej sprawie mający. Jego słowa pełne dziwnie wzniosłej miłości ojczyzny, kreślone z niezaprzeczonym talentem dadzą bezwątpienia dokładniejszy pogląd niż bądźjakie inne. Owszem opowiadanie samego męczennika w sprawie Ojczyzny wzbudzi pewniej takie uczucie, o które krew niewinnie przelana woła. Oto jego słowa:

„Wieś Maciejowice dziś Podzamczem zwana, leży w nizinie, lecz sam dom murowany na wzgórzu, naprzeciw Wisły. Długa grobla prowadzi do niego, po prawej ręce rzeczka Okrzeja, po lewej błota i zarośla. Położenie to zdało nam się wybornem. Całe siły nasze umieściły się na wzgórzu; od domu postawiono działobitnię przeszywającą całą długość grobli, dwa pułki fizilierów i pułk Działyńskiego były pod dowództwem generała Sierakowskiego, resztę okręgu napełniała piechota, brygada jazdy Kopcia, ułany Kamińskiego, dwa szwadrony jazdy gwardyi koronnej i tyleż milicyj województwa Brzeskiego Lit., wszystko pod dowództwem generała Kniaziewicza. Rozkazał naczelnik w kilku miejscach posypać wały, lecz noc zaskoczyła gdy je ledwo zaczęto. Całe wojsko zostało przez noc pod bronią. Podwojono czaty, każdemu konnemu przydano strzelca pieszego. Poczyniwszy te rozporządzenia udaliśmy zię do pomienionego wyżej domu.

Nie wierzę odtąd przeczuciom. Była to wigilia jednego z najnieszczęśliwszych dni życia mego, dnia w którym straciłem mą wolność, a co stokroć bolesniejszem, dnia w którym ojczyźnie mojej cios śmiertelny zadany, przecież byłem spokojny, co więcej wesoły.

Pałac murowany do któregośmy się schronili, był zrabowany i zniszczony jak wszystkie te, przez które przechodzili Moskale. Maciejowice w dawnych czasach należały do rodu Maciejowskich, poźniej do Potockich, od których je nabył Andrzej ordynat Zamojski. Sala górna ozdobiona była portretami prymasów, kanclerzów, hetmanów, biskupów, wszystkim tym wizerunkom moskale powykłuwali oczy dzidami, szablami porąbali twarze. Takie to było wojsko sławnej Katarzyny II protektorki nauk i sztuk pięknych. Nie znaleźliśmy już biblioteki, zabrali ją oficerowie moskiewscy, skrzynia tylko jedna zawierająca małe druki i zbiór gazet polskich z początku XVIII wieku leżała rozbita, a zawarte w niej gazety zawalały kaplicy posadzkę. Między innemi natrafiłem gązety donoszące o śmierci Augusta II i dziennik sejmu konwokacyjnego. Nadęty styl, pełne makaronizmów łacińskich peryody pobudzały mnie do śmiechu. wziąłem z nich kilka arkuszy i przy wieczerzy czytałem Kościuszce. Rozmawialiśmy o dniu jutrzejszym, o trudnościach, jakie znajdą moskale w atakowaniu nas. O drugiej z północy obudził mnie Kościuszko i napisać zlecił rozkaz Ponińskiemu, by jak najprędzej pospieszał złączyć się z nami. Niestety! już to było zapóźno, za daleko zostawiony nie mógł już zdążyć i z tej strony wolnym być powinien od posądzań i winy.

O samym świcie adjutant od służby Kuniewski dał nam znać, że nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód. Szczupłe wojsko nasze do przyjęcia go wkrótce było gotowe. W minutę jużeśmy byli na koniach. Naczelnik spostrzegłszy w tyle naszym wioskę, by jej nie opanowali Moskale kazał ją zapalić. Nie zapomnę nigda okropności widoku tego; obejmują wieś płomienie, wznoszę się nad nią kłęby dymu czarnego, wieśniacy, kobiety z dziećmi na łonie, bydło, ptactwo, ucieka we wszystkie strony, napełniając powietrze płaczem i jękami.

Moskal mając działa większego kalibru pierwszy kulami swemi dosięgać nas zaczął. Ogromne te kule z strasznym łoskotem przedzierając się przez drzewa i krzaki łamały je i okrywały nas oderwanemi gałęziami. Nie mieliśmy jak trzy lub cztery dwunastofuntowe działa. Skoro

nieprzyjaciel na ich dosięgnienie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień; sam je naczelnik celował z takim skutkiem, iż widzieć można było chwiejące się szyki. Przez trzy godzin mieliśmy nad nieprzyjacielem górę tak dalece, iż przystąpiwszy do naczelnika generał Sierakowski rzekł: „zdaje się, że moskaluszki zabierają się do odwrotu.“ Wkrótce pokazało się przeciwnie. W czwórnasób liczniejsi od nas i w ludziach i w działach, stratę ludzi licząc za nic, nie zważając ni na trudności przystępu ni na morderczy ogień nasz coraz zbliżali się więcej. Ogień ich stawał się prędszym i coraz straszniejszym. Grad kul i granatów gwiżdżąc bez ustanku około uszu padał pomiędzy hufce nasze, nie pojmowałem jak w porównaniu gęstości kul tych niewięcej ludzi padało. Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Przypominam sobie, że rozpalony granat padł w miejsce, gdzie naczelnik, Fiszer i ja staliśmy razem, pękł i o pięćdziesiąt kroków od nas kanoniera trupem położył. Za większem zbliżeniem się nieprzyjaciela z ręcznej strzelby gęsty z obu stron zaczął się ogień, okrywała się ziemia trupami, przerażały powietrze jęki ranionych i konających, żaden atoli z naszych nie opuścił miejsca, na którem walczyć zaczął. Już pobito konie od dział, już wypróżniono amunicyą, gdy pułkownik Krzycki nie mogąc dłużej utrzymać stojącego przez sześć godzin na jednem miejscu żołnierza ruszył naprzód i przerwał stykające się dotąd z sobą szyki. Stał się roztwór, pobiegłem do Kościuszki, oznajmiając mu, że nieprzyjacielska jazda już do luki tej zbliża się w zawód, sam zbliżam się do szwadronu powstańców Brzeskich Litt., i zachęciwszy ich rzucam się naprzód, gdy kula z pistoletu przeszywa mi na wskróś rękę prawą powyżej łokcia, wypada mi oręż, krew leje się obficie, Boga atoli biorę na świadectwo, że widząc lejącą się krew moją pierwszem uczuciem mojem był nie ból rany, lecz jakaś pycha, żem nią się zbroczył w obronie lubej Ojczyzny mojej.

Lecz ta radość, ta patryotyczna pycha ustąpiły wkrótce boleści, gdym ujrzał zupełną przegranę naszą. Oddział milicyi, którym prowadził, zszedł z pola. Wszędzie pomieszanie i nieład. Już całe wojsko moskiewskie następowało i otaczało nas zewsząd; piechota nasza acz przerzedzona walczyła jednak, kłuła się z Moskalami ustępując ku pałacowi, na dziedzińcu onego, na ganku, w piwnicach nawet. Wpośród tej rzezi naczelnik stara się zebrać resztę jazdy naszej, w tem koń zabity pada pod nim, podają mu świeżego, odpieramy jeszcze na chwilę kozaków, lecz cała masą dragonów moskiewskich wpada na nas, oficer chwyta konia mego za cugle, raniony, bez oręża dalej bronić się nie mogłem, stałem się jeńcem.

Oficer ten zaprowadził mnie do pobliskiego lasku i tam stał się mym szatnym. Wziął mi naprzód zegarek i worek z pieniędzmi, zdejmując skrwawioną mą kurtkę postrzegł piękny pierścień antyk na palcu moim, rzucił się nań chcąc go zdjąć, lecz ręka i palec z przyczyny odniesionej rany krwią nabiegłe czyniły rzecz trudną. Oficer jął się prędszego sposobu, włożył palec mój w gębę i chciał go wraz z pierścieniem odgryźć; czując już zęby jego: Poczekaj zawołałem, ja go sam zdejmę. Jakoż dobrze pośliniwszy ów palec acz z ciężkością zdjąłem pierścień i oddałem mu go; tu nic nie mając do wzięcia, zdjąwszy mundur z zabitego żołnierza narzucił go na mnie i puścił.

Coraz bardziej upływem krwi słabieć zacząłem. Przybiegali oficerowie moskiewscy na wszystkie strony radośne barbarzyńskie krzyki nad zwycięztwem swojem wydając, a każdy z nich, łżąc mię grubiańskiemi słowy kańczukiem po plecach okładał. Nie wiem, jak długo trwałoby to pastwienie, gdyby szczęściem nie przybył podpułkownik Tołstoj; ten zgromiwszy tych oprawców wziął mię z sobą i do głównej kwatery poprowadził. Przejeżdżaliśmy przez całe pobojowisko. Pobojowisko to całe było zasłane trupami obdartemi do naga. To krwawe śmierci widowisko miało coś wielkiego w samej nawet okropności swojej. Ogromne te ciała po większej części z przebitemi bagnetem piersiami, silne ich członki zlane krwią już skrzepłą z wyrazem jeszcze grozy lub rozpaczy na martwych ich twarzach, nadewszystko myśl, że waleczni ci ludzie polegli zasłaniając ojczyznę piersiami swemi, wszystko to napełniało duszę moją wrażeniami, które się nigdy nie zatrą.

Przybyliśmy nakoniec do najwyższego wodza generała Fersen...

Okropniejsze nad wszystko czekało nas widowisko. Właśnie gdy niespokojny pytam wszystkich, co się stało z Kościuszką, gdy Moskale powiadają mi że poległ w boju, widzę żołnierzy dźwigających na noszach dużo skaleczonego człowieka. Był to waleczny lecz nieszczęśliwy nasz naczelnik. Krew oblewająca go całego okropną czyniła sprzeczność z zsiniałą twarzy jego bladością. Kościuszko odniósł głębokie cięcie w głowę i dwie rany od dzidy powyżej bioder, zaledwie oddychał. Ścisnęło się serce moje, łzy puściły mi się z oczu; od tej chwili aż do tej, w której stanąwszy, w twierdzy petersburskiej zamknięci byliśmy osobno, nie opuściłem go i na moment. Zaniesiono go do sali na górę, chirurg opatrzył rany. Jam smutny usiadł przy nim, dwóch grenadierów stanęło przy drzwiach. Ku zmierzchowi, że Fersen potrzebował tej sali na jadalną swą izbę, przeniesiono ranionego do dolnego pokoju nad samą piwnicą. Noc następująca po dniu tym nieszczęsnym była najboleśniejszą dla mnie. Leżałem na słomie przy chorym, cierpiąc więcej na umyśle niżeli na ciele. Tłum Moskali napełniając dom już się rozchodził, już gasły światła, gdy gwar ten pomieszany wykrzykującej tłuszczy ustąpił jękom i wyrzekaniom ranionych i konających....“

Ale nieprzepomnieć nam nigdy, że ów wspaniały geniusz Polski, Kościuszko, przez całe swoje dalsze, tułacze życie, zawsze zaprzeczał nieszczęsnym, niebacznie przypisywanym mu słowom: *Finis Poloniae*.

B. K.

Z dzisiejszym numerem rozsyłamy siedmnasty i ośmnasty arkusz powieści CZARNY MATWIJ.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.